Rok 1900. Lwów, 18. listopada Nr 58.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Treść Nr. 57:

Arcybiskup Ks. Dr. Józef Bilczewski.

Mianowanie ks. dra Józefa Bilczewskiego, rektora Wszechnicy lwowskiej, rzymsko-katolickim arcybiskupem i metropolitą we Lwowie sprawiło we wszystkich sferach naszego społeczeństwa wrażenie bardzo dobre. W opinii publicznej wyrobiło się pewne uprzedzenie przeciwko sferom decydującym, że w razie obsadzania stolic biskupich, zwłaszcza najbogatszych, wybierano zawsze kandydatów arystokratycznych. Nie wchodzimy w słuszność tego uprzedzenia, ale, stwierdzając je, podnosimy z zadowoleniem, że na stolicę arcybiskupią powołany został tym razem syn ludu.

Istotne nazwisko ks. arcybiskupa Bilczewskiego brzmi Bila, ojciec jego był włościaninem w Wilamowicach, gdzie ks. Józef urodził się w r. 1859. Ukończywszy gimnazyum w Wadowicach, wstąpił do seminaryum duchownego w Krakowie i tutaj zmienił swe nazwisko na Bilczewski.

Studya teologiczne kończył w Krakowie, a następnie w Rzymie; był początkowo katechetą gimnazyalnym w Krakowie, i tam habilitował się na docenta Wszechnicy. Jako profesor, powołany na Wszechnicę lwowską, został na rok bieżący Rektorem tego zakładu.

Ks. dr. Bilczewski jest mężem głębokiej nauki i niepospolitym pisarzem w dziedzinie archeologii chrześcijańskiej, którą studyował w Rzymie pod kierunkiem Jana Chrzciciela de Rossi. Pierwszy on z Polaków począł naukowo pisać o tym przedmiocie i zyskał w świecie naukowym poważne imię, zwłaszcza za dzieło „Archeologia chrześcijańska wobec Kościoła i dogmatu“. Inna jego książka



dogmatyczno-archeologiczna, o Eucharystyi, otrzymała nagrodę na konkursie Akademii Umiejętności.

Sprawy społeczne, wobec których zajmuje stanowisko demokratyczne i postępowe, były zawsze przedmiotem, żywo zajmującym dzisiejszego arcybiskupa. Popularnem uczynił on swe imię zwłaszcza mową, którą wygłosił jako rektor na inauguracyi bieżącego roku szkolnego w uniwersytecie. Wypowiedział tu trafne zdanie, że Kościół tryumfów nauki się nie lęka. „Każdy krok, który czynią naprzód, jest zwycięstwem prawdy nad błędem, światła nad ciemnością“. Świętości Kościoła — twierdzi dalej — nie sprzeciwiają się wymaganiom nauki, alę się wzajemnie z niemi uzupełniają. „Życzę wam nowych tryumfów — prawił — pewny, że w przebieżeniu różnemi ścieżkami szerokich pól umiejętności ludzkich, znajdziecie się pewnego dnia złączeni z mniemanymi przeciwnikami u stóp Tego, który rzekł: Jam droga, i prawda, i żywot“.

I jeszcze jedno. Ks. Bilczewski tylko pod tym warunkiem zgodził się na przyjęcie godności arcybiskupiej, jeżeli dyecezya lwowska nie dozna żadnego uszczuplenia. Temsamem zapobiegł grożącemu niebezpieczeństwu kreowania niemieckiego biskupstwa w Czerniowcach i niedopuścił do zamierzonej germanizacyi tamtejszych Polaków pod płaszczykiem spraw kościelnych.

Mąż pięknej postawy, wymowny, uprzejmy, młody i o światłym, a bystrym umyśle zasiada na stolicy metropolitalnej. Oby dla narodu i Kościoła stał się godnym następcą Solikowskich i Sierakowskich!

Zdanie
Wojciecha Dzieduszyckiego o parlamencie.

Toczyła się rozmowa grona młodych z Wojciechem Dzieduszyckim o rzeczach zrazu oderwanych; zeszła na kwestyę solidarnosci Koła. Podnoszono, że solidarność, konieczna w sprawach narodowych, winna ustać w kwestyach społecznych. Dzieduszycki odrzekł: Solidarność, ograniczona do kwestyi narodowych polskich, będących przedmiotem obrad parlamentu wiedeńskiego, prawie nigdyby nie stawała się aktualną, ograniczałaby się chyba do sprawy śląskiej. Byłoby śmiesznością żądać języka polskiego w wojsku. Zresztą bywa osią naszej polityki obrona praw narodowych, w Galicyi nabytych, a niebezpieczeństwem, którego uniknąć chcemy, wmięszanie się Rady państwa do spraw naszych pod względem językowym.

Zadaniem Koła we Wiedniu bywa walka o interesa krajowe, a nie narodowe. Tylko, że intellektualny i ekonomiczny rozwój jedynej prowincyi, w której używamy swobody, jest pierwszorzędnym interesem narodowym polskim.

Nie mamy we Wiedniu bezinteresownych przyjaciół, a mamy mnóstwo jawnych, czy ukrytych wrogów tak w parlamencie, jak po biurach rządowych, po których stare, złe tradycye dotąd pokutują. Wyjednać możemy coś dla kraju tylko sojuszami, opartymi na podstawie „do, ut des". Dadzą nam coś ci, którzy wiedzą, że im w zamian damy, a uwierzą i zaufają tylko wtedy, gdy ujrzą przed sobą reprezentacyę polską, tak ściśle solidarną, że na wszystkie jej głosy przy każdem głosowaniu liczyć mogą. Czem więcej jest takich głosów, tem raczej coś wskóramy.

Ważniejszy jest jednak główny powód solidarności Koła polskiego we Wiedniu. Ona wyraża to, że mimo wszystkiego jesteśmy narodem, który z innymi narodami obraduje pospołu, ale zachowuje własną indywidualną duszę. Naszem życiem jest jedność narodowa, moralnem przekonaniem utrzymana, a trwająca niewzruszenie wbrew przymusom administracyjnym. Inne narody klei przemoc zewnętrzna, nasze istnienie jest żywym protestem przeciw politycznej nieprawości, stwierdzeniem, że przekonanie bywa silniejsze od gwałtu. W tem tkwi naszego narodu zadanie, żeby nie uroniwszy nic ze swojej całości, przetrwać sztuczne wytwory, przygotować w dziejach zwycięstwo moralnej jedności nad jednością mechaniczną. Polacy, którzy się będą we Wiedniu kłócić między sobą, moralną jedność narodu rozbiją, istocie narodowej idei zaprzeczą. Moralne w dziejach Polski posłannictwo jest najwyższem zadaniem dziejowem, jakie nam nakreślono. Jednym z jej wyrazów jest solidarność Koła i stąd dogmatyczne jej znaczenie, wychodzące poza zakres oportunizmu politycznego. Koło polskie rzadko wyraża słowami myśl o polskości, jego zadaniem nie jest literatura, tylko czyn. Każdego Polaka — mocą naszej niezużytej jedności moralnej — boli lub cieszy to, co się zdarzy innym Polakom, choćby byli tak dalece od niego oderwani, że praktycznej z nimi nie ma styczności. Słowo patryotyczne polskie wyrzeczone w parlamencie, może często zaszkodzić, rzadko, a przecież czasem pomódz tym Polakom, którzy żyją w ucisku. O tem pamiętając, słów roznośnych szczędzimy.

Polityka głośno wyrażanych uczuć, ledwo dozwolona narodom potężnym, nam jest stanowczo zabronioną, może się mścić srogo nie na jednostkach, ale na narodzie całym. Nie trzeba dawać pozorów do wzmagania ucisku na Litwie i w Poznańskiem, dodawać argumentów tym, którzy w Petersburgu i w Berlinie naszej domagają się zagłady, a bądź co bądź walczyć muszą z ludźmi sprawiedliwszymi. Nie wystawiajmy wytrwałości narodowej na próby, z których cudem tylko zwycięzko wyjść może, nie łudźmy się, zajrzymy prawdzie w oczy.

Cieszymy się patryotyzmem ludu polskiego w Wielkopolsce. Słusznie! Ale nie okłamujmy się. Człowiek prosty, zgermanizowany przez ośm lat w szkole, przez dwa lata w wojsku, skazany na zarobek nad Renem, może się zniemczyć i często się zniemczy.

Na straszliwą klęskę narażaliśmy sprawę polską, a z nią zwycięstwo prawdy w dziejach niecierpliwem złudzeniem, jakoby masy ludu już do świadomości były przyszły. Łudząc się tak, dwakroć skrwawiliśmy daremnie ojczyznę. Strzeżmy się przed podobnym błędem. Żadną sztuczną agitacyą ludu nie uswiadomimy. Uświadomią go dobrobyt, oświata i krzywdy od obcych doznawane. Pracujmy tedy nad ludu oświatą i dobrobytem, brońmy go przed krzywdzicielem, a wtedy stanie się Polakiem stale, niewzruszenie, na prawdę.

Póki to się nie stanie, nie wolno nam naszych sił przeceniać. Wmawiają w Koło polskie, że we Wiedniu wszystko może. W istocie jest i będzie stronnictwem słabem, jak długo nie poczuje za sobą milionów świadomych siebie, gotowych go poprzeć jeśli pójdzie w opozycyę. Tych nie ma. Zawiść, najbrzydsza polskiej natury wada, i skutki w dobrej myśli przedsięwziętego, ale nierozważnego budzenia ludu sprawiają owszem, że opozycya w kraju nie jest zwróconą przeciw tym, z którymi kraj cały walczyć musi, a bywa zawsze zwróconą przeciwko swoim, którzy polityczną odpowiedzialność dźwigają. Niech Koło polskie pójdzie w opozycyę przeciw niemieckiemu, czy przeciw czeskiemu rządowi, a znajdą się w kraju niezliczeni, a dziwnego rodzaju opozycyoniści, którzy z radością chwycą sposobność pognębienia swoich własnych posłów za pomocą nieprzyjaznego rządu.

Zresztą mylnem jest mniemanie, jakoby w parlamencie można jawnie i szczerze myśl i zdanie wypowiedzieć. Choć nawet poseł jest obojętny na osobiste, przeciw niemu zwrócone obelgi prasy, musi się liczyć z niebezpieczeństwem, że prasa jego słowa przekręci na szkodę sprawy. Wreszcie argumentami i prawdą mało się w parlamencie zdziała. Wszak parlament jest tłumem, a wiadomo, że w tłumie jednostki, zresztą szlachetne i rozumne, tracą poczucie odpowiedzialności, dają się częstokroć prowadzić głupim, bezrozumnym instynktem. Zresztą posłowie, myśląc zbyt często o swoim jedynie mandacie, nie zważają na dobro, ani na prawdę, chcą tylko podchlebić namiętności ślepej nieoświeconych tłumów, albo podchlebić się potężnemu rządowi. Solidarność Koła, w której indywidualność pojedyńczego posła tonie, chroni Polaków przeważnie przed tą polityczną chorobą. Ale ta zaraza grasuje w Radzie państwa; więc działanie Polaków zbiorowe musi być przystosowane do psychologii parlamentu. Dobór środków taktycznych może i musi być nieraz w kraju niezrozumiany. Sądząc Koło, powinno się zawsze pamiętać, w jakich działa okolicznościach.

Tak się wyraził Wojciech Dzieduszycki. Wydało mi się, że te zapatrywania godne spisania. Spytałem go się, czy na druk zezwoli. Zezwolił, więc dziękuję.

M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zamach na Wilhelma II.

We Wrocławiu 16. bm. wykonano zamach na cesarza Wilhelma II., jednak tak nieudolnie, że należy przypuszczać poprostu obłąkanie kobiety, która była jego sprawczynią. Gdy Wilhelm w towarzystwie ks. Meiningen jechał w otwartym powozie do koszar kirasyerów, z tłumu rzucono na powóz małą siekierą. Siekiera odbiła się od powozu, nikogo nie uszkodziwszy. Sprawczyni nazywa się Selma Schnapke, jest handlarką i prawdopodobnie obłąkaną. Aresztowano ją.

Car chory.

Car rosyjski od dni kilku ciężko zaniemógł. Początkowo donoszono, że zapadł na influenzę, obecnie znowu lekarze stwierdzają tyfus brzuszny. Ale krąży również pogłoska, że car padł ofiarą zamachu, że mianowicie został otruty.

Spisek Macedończyków.

Rząd rumuński zawiadomił przedstawicieli wszystkich mocarstw o wyniku śledztwa, przeprowadzonego przez sąd w Bukareszcie w sprawie spisku macedońskiego przeciw królowi Karolowi. „Polit. Corresp." donosi, że główny okarżony, Trifanow, przyznał się, iż spisek taki istniał. Dnia 10 grudnia 1899 r. — opowiada Trifanow — odbyło się w hotelu "Unirea" w Bukareszcie zebranie, na którem pomiędzy innymi byli obecni Sorafow, Arsow, Bogdanow i Trifanow. Sorafow odebrał od obecnych przysięgę w imieniu Komitetu macedońskiego s następnie zawiadomił, że komitet postanowił wywołać rewolucyę w czerwcu 1900. roku lub czerwcu 1801 r". „Cała Bulgarya — mówił — porwie się do broni. Książę i rząd są z nami i są zachwyceni planem naszego komitetu. Następnie wywiązała się dyskusya nad tem, w jaki sposób należy wywołać rewolucyę w Serbii i Rumunii, aby te dwa państwa nie mogły przeszkodzić akcyi bulgarskiej w Macedonii. Trifanow radził wywołać rozruchy antysemickie, a Sarafow odpowiedział, że pomysł to niezły, ale trzeba wymyśleć coś jeszcze lepszego. Najlepiej zamordować obu królów.

Postanowiono wykonać zamach. Króla Karola mieli zamordować Bosneakow sztyletem, albo Arsen wystrzałem z rewolweru. Dwa razy mordercy czekali na króla za mostem Bambowica, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności, król nie przyjeżdżał tą drogą. Następnie postanowiono podrzucić bombę i polecono wykonać zamach kulawemu Bogdanowi. Bogdanow przyznał się, że rozmawiał o tym zamiarze z Tarlewem. Zanim jednak przystąpiono do wykonania zamachu, policya rumuńska wpadła na trop spiskowców, szukając morderców Flotowskiego i prof. Michaileana.

Wobec takiego wyniku śledztwa rządowi bulgarskiemu trudno będzie odmówić żądaniu, aby wystąpił energicznie przeciw komitetowi macedońskiemu, a bardzo jest prawdopodobne, że w razie potrzeby mocarstwa wmieszają się do tej sprawy.

Kiedy będzie spokój w Chinach?

W listopadowym zeszycie „Preussische Jahrbücher“ znajdujemy rozprawę Ludwika Reussa, który od lat 13 jest profesorem historyi chińskiej na uniwersytecie w stolicy japońskiej Tokio. Widocznie musi on być wybornym znawcą Chin, skoro Japończycy wzięli go na profesora dziejów tego kraju We wspomnianej rozprawie podnosi on, że żywotność ruchu reformistów, ruchu czysto-chińskiego, który zarazem dąży do wyniesienia na tron starodawnej dynastyi Mingów, jest bardzo wielka. Ruch ten właściwie nigdy nie ustawał od lat 250 i czasami się objawiał gwałtownemi powstaniami, jak naprzykład buntem tajpingów, stłumionym przez Lihungczanga przy pomocy Anglików, a że oni wspierali walkę rządu pekińskiego z tymi powstańcami, to jeno dowodzi, że Europa do niedawna nie miała żadnego pojęcia o Chinach i nieraz sama sobie szkodziła. Mniej więcej lat 250 temu Mandżurowie z Mongołami tworząc jedno państwo, napadali na Chiny, zdobyli je, dynastya Mingów uciekła i odtąd jej potomkowie byli starannie ukrywani przez ludność, a nowa zdobywcza dynastya Mandżu, czyli mandżurska, zakuła ludność w tysiączne formułki, aby ją ubezwładnić. Przez pogardę dla Chińczyków kazali im zdobywcy golić głowy, oprócz ciemienia, z którego powinna była wyrastać kosa, kazali im także mieszkać w osobnych dzielnicach, wskutek czego każde niemal miasto składa się z dwóch — z chińskiego i mandżursko-mongolskiego, zwanego także tatarskiem. Z biegiem czasu zdobywcy przyjęli język pokonanych i nawet kosy — znak hańby — zaczęli nosić, ale dla czystej krwi Chińczyków dotąd i kosy i wszelkie formułki życia, narzucone przez Mandżurów, i sami oni pozostali czemś niezmiernie nienawistnem. Trzeba ściśle odróżniać Chińczyka od Mandżura; pierwszy jest łagodny, znać w nim długą cywilizacyą, jest skłonny do przyjęcia urządzeń europejskich, zupełnie jak Japończycy, których prędkie zastósowanie się do naszej cywilizacyi tak zdumiewa Europę; drugi — zupełnie przeciwieństwo tamtego: chytry, kłamliwy, okrótny, nienawidzący obcych — istny Mongoł. Otóż — zdaniem dr. Reussa — Europa powinna oddzielić Mandżuryą i Mongolią i tym dwom krajom zostawić ich dawną dynastyą, a właściwym Chinom dać ich dynastyą Mingów, słowem odrobić to, co się stało przed 250 laty. W przeciwnym razie na nic są wszelkie zmiany w Chinach i wszelkie traktaty pokojowe, bo Chińczycy będą się burzyli preciw zdobywcom mandżursko-mongolskim, a od tych zaburzeń muszą stale cierpieć cudzoziemcy.

2 R.

Z Berlina

14. listopada.

Polacy, którzy bawiąc w przejeździe w Berlinie, chcą zapoznać się nieco z życiem berlińskiej kolonii polskiej, dostają się zazwyczaj na jedno — dwa posiedzenia miejscowych towarzystw polskich. Takie przelotne zapoznanie się z działalnością towarzystw wystarczy, aby w najogólniejszych zarysach przyjrzeć się warunkom, wśród których rozwija się berlińska kolonia polska. Niejeden coprawda z gości z Królestwa lub z Galicyi doznaje niejakiego rozczarowania, gdy udając się np. na posiedzenie „Towarzystwa przemysłowców“, i spodziewając się, że znajdzie tam pokaźną liczbę bogatych, a przynajmniej zamożnych fabrykantów, inżynierów i techników — jednem słowem inteligencyę, oddaną przemysłowi, znajduje zamiast tego grono walczących z biedą, po większej części nawet nie samodzielnych rękodzielników wszelkich zawodów. Lecz zato ileż to już gości w przelocie bawiących w Berlinie — opuszczało posiedzenie takich towarzystw z dużem wewnętrznem zadowoleniem, każdy bowiem słysząc wygłoszony odczyt i przysłuchając się dyskusyi zgromadzonych rzemieślników, odniesie musi wrażenie, że ci ludzie pod wielu względami wyżej stoją, od przeciętnego rzemieślnika w kraju i że reprezentują, czy też reprezentować będą pewien dodatni czynnik w rozwoju społecznym.

I to przelotne — na jednem lub dwóch posiedzeniach jakiegoś towarzystwa polskiego oparte—wrażenie będzie w ogólnych zarysach wiernie i trafnie oddawać charakter berlińskiej kolonii polskiej.

Lecz, oddając zresztą najzupełniejszą sprawiedliwość berlińskim towarzystwom polskim w ogóle, i wśród nich spotykamy niektóre, nader smutne rzucające światło na ogół. Są to wprawdzie wyjątki — ale mają one swe znaczenie, jeśli chodzi o charakterystykę całości.

Wyjątki te spotykamy w pierwszej linii pod względem narodowym. Są towarzystwa, dla których pewien indyferentyzm narodowy i utrzymywanie stosunków przyjaznych z Niemcami są maksymą postępowania. Jeszcze do niedawna na wielu zabawach polskich towarzystw napotkać można masy Niemców, co rzeczywiście prowadzi do używania języka niemieckiego, gdyż wobec „gości“, naturalnie Polacy muszą być grzeczni. Niektóre towarzystwa, dla których zabawy, zazwyczaj poprzedzone koncertem, lub przedstawieniem amatorskiem są źródłem dochodów, starają się podwyższyć frekwencyę gości w ten sposób, że zachęcają Niemców do przybycia i wzięcia udziału w zabawie. Zdarza się nawet że w tej pogoni za gośćmi zapominają o godności i drukują niemieckie afisze i zaproszenia. Przed dwoma laty polskie towarzystwo śpiewackie naraziło się za silne zarzuty za taką reklamę, graniczącą ze zrzeczeniem się charakteru narodowego. Afisz, oznajmiający o dorocznej zabawie, brzmiał jak następuje:

> Schweizers Etablissement
> Rosinenstrasse Nr. 3.
>
> Am Sonnabend, den 14. August
> fecirt der
> polnische
> Männer-Gesangverein
> Mitglied des polnischen-Sängerbundes
> in Posen und Umgegend
> sein Diesjähriges
> Sommerfest.
> Verbunden mit Gesang, Festrede und Ball.
>
> Anfang Abends $8^1/_2$ Uhr.
>
> Um recht zahlreiches Erscheinen bittet
> der poln-männer-gesangverein,
>
> *Maczkowiak.* Vorsitzender.
>
> Billets sind hier zu haben
> für Damen 30 pf. — Herren 50 pf.

przytaczam ten afisz jako curiosum swego rodzaju, nie pozbawione jednak symptomatycznej wartości. Ten indyferentyzm narodowy, którego jedną przyczynę, w postaci potrzeby zasilenia kasy, powyżej wyłuszczyłem, pochodzi również i stąd, że pomiędzy członkami towarzystw jest z reguły bardzo wielu żonatych z Niemkami. Na każdą zabawę, lub koncert, urządzony staraniem towarzystwa polskiego, przychodzi zatem pewna liczba rodzin pół-polskich pół-niemieckich, dzięki czemu zacierają się wybitnie polskie cechy zebrania.

Trzeba jednak przyznać, że każdy jaskrawszy objaw takiego lekceważenia narodowego charakteru towarzystw, jak np. niemieckie deklamacye, lub śpiewy, napotyka energiczną krytykę i odprawę zaraz na miejscu, w ostateczności na posiedzeniu komitetu towarzystw, lub na łamach miejscowego organu berlińskich polaków „Dziennika Berlińskiego“. Tak było swego czasu z przytoczonym powyżej afiszem.

Po za obrębem komitetu zjednoczonych towarzystw polskich stoi — jako unikat wśród towarzystw polskich w Berlinie — towarzystwo „wojackie“.

Istnieje ono od lat kilku, nie komunikując się prawie wcale z kolonią polską. Jest to związek wysłużonych wojaków pruskich, mówiących po polsku, t. zw. „kriegerverein“. Co parę tygodni odbywają się uroczystości i festyny patryotyczne, nawet z polskiemi przemowami, przy udziale pruskich prawdziwych doboszów z gwardji. Festyny te i stanowiąca ich część nieodłączoną pijatyka, czyli t. zw. *komers*, odbywają się z okazji urodzin cesarskich, imienin jakiegoś np. pułkownika gwardji, rocznicy zgonu Bismarka i Moltkego i t. d.

Do tego związku należą wysłużeni żołnierze i kaprale, obecnie przeważnie na posadach urzędników państwowych. Naturalnie niema mowy o tem, aby na posiedzeniach towarzystwa tego miano wygłaszać jakieś odczyty polskie. Nawet pieśni polskich „wojacy“ nie śpiewają, lecz same pruskie marsze wojskowe. Towarzystwo to należy do ogólnego związku niemieckich „Towarzystw wysłużonych żołnierzy“ — do t. zw. „*Kriegerbundu*“.

Na równie odosobnionem stanowisku wśród kolonii polskiej pozostaje „Towarzystwo loteryjne polskie“. Jest to stowarzyszenie miłośników gry w loteryę. Za składki miesięczne swych członków zakupuje towarzystwo znaczną ilość ćwiartek losów loteryi państwowej, rozmaitych numerów, a za wygrane pieniądze zakupuje nowe losy, odkładając pewną ich część na żelazny fundusz. Opodatkowawszy się w ten sposób na rzecz skarbu pruskiego, członkowie towarzystwa oczekują w pełnym spokoju ducha na wielki los. Wogóle niema loteryi, dozwolonej w Prusach, w którejby to towarzystwo nie brało udziału.

(Dok. nast.)

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Te śtyry godziny to przecie mogiemy przespać tu na ławie i wołał nieznajomy, którego nóg uczepiła się dziewczynka, napełniając krzykiem i płaczem całą salę. Tę grupę obstąpiła gromada ciekawych.

— No patrzcie — zwrócił się żandarm do otaczających, jakby tłumacząc się ze swego obcesowego postępowania, — pjanica jakiś, co niema gdzie głowy położyć, albo i ukradł co może i tu się taborem rozłożył! Ruszaj! zawołał, a pięścią wymierzył zlekka raz w kark biedaka, kierując go ku wyjściu. Dziewczynka nie odstępowała ojca, a psina, leżący bezwładnie pod piecem, widząc, że pan jego się oddala, dźwignął się na nogi, lecz widocznie przetrącony miał krzyż, bo tylna połowa ciała chwiać mu się zaczęła przy pierwszym kroku i padł znowu z bezsilnem skomleniem.

W tej chwili właśnie wchodził we drzwi sali pan Danielewski, którego na peronie odnalazł syn i opowiadał mu tymczasem nowiny.

Ciżba była wielka, więc pan Danielewski przystanął przy bufecie i kazał dać koniaka.

Tymczasem z otaczających żandarma i jego ofiarę ludzi ktoś stanął w obronie wypędzanego i odezwał się: Dalibyście tam lepiej spokój temu biedakowi! Gdzież on zaś z tobołami może się do miasta nosić i potem za trzy godziny wracać!

A kto inny dorzucił: „I z małem płaczącem dzieckiem“.

Głos pierwszy mówił dalej:

„I psinę mu nawet potyrali, nic nie oszczędzili...“

Żandarm prowadził pasażera przez tłum z trudnością, ale się nic nie odzywał. Słowa życzliwe jednak w obcym człowieku obudziły echo i zaczął się skarżyć, zwróciwszy się do ludzi:

„Patrzcie ta, ludzie, jakie to ostatnie chwile mi tu zgotowali! O rety! Chałupinę, com na wsi w niej stolarką się trudnił one urzędniki zabrali, bo z góry chcą czynszy i na moje miejsce pewnie ta już niemca wsadzili, a tu człowieku mrzyj z głodu, jedź między obcych, jeszcze cię na pożegnanie pięścią w kark trącą“.

— „A skądżeście wy?“

„A skądże mam być? Z Załęża, z tego zatraconego Załęża, tom na plecach skrzynkę przyniósł z chudobą na dworzec i czekam na pociąg do Berlina. A czy to ja zbój jaki, żebym po nocy ze skrzynią na plecach wędrował ze wsi do miasta? A żeby jego Bóg pokarał tego dawnego dziedzica, za nasze łzy i naszą krzywdę, bo on nas oddał wszystkich w niemieckie ręce! — —

„Kogo? kogo?“

„A onego Danielewskiego przecie, co nas zaprzepaścił, że kilku z Załęża musi po świecie chleba szukać, bo Niemiec to zawsze jednaki i nas wyżenie po jednemu wszystkich. — —

„Wszyscy z torbami pójdziemy, jak i ja poszedłem!“

„Danielewski, Danielewski“, poszedł pomruk w ciżbie zebranych, a w tym pomruku było coś tak złowrogiego, że stojący przy bufecie dawny dziedzic Załęża mimowoli spojrzał w stronę, skąd dochodziły te słowa. Całą twarzą zwrócił się ku dawnemu stolarzowi dworskiemu — a ten go odrazu dojrzał. Widok Danielewskiego podniecił stolarza jeszcze bardziej.

„Ludzie, patrzcie ta ino — tam on stoi sobie, on Danielewski, przy bufecie i wina zapija, a ty człowiecze choć się uginaj pod biedą, to cię jeszcze taki opętaniec nogą przydusi, aby ci całkiem dech w piersiach sparło. Tfu, plugawe nasienie!“.

— Podła dusza! sprzedawczyk! Nikczemnik! wołały rozmaite głosy.

Danielewski, który miał dużo cywilnej odwagi, słysząc, że okrzyki zwracają się do niego, skierował się prosto w sam środek gromady, której już nie mógł rozproszyć żandarm, wbity jak klinem pomiędzy wychodzących z sali i podążających do niej na pierwszy odgłos jakiegoś zajścia. Zaledwo jednak Danielewski zdążył parę kroków postąpić w kierunku drzwi, gdy wszczął się nieopisany hałas i wrzaski.

Jedni wołali: nikczemnik! — inni: po co on tu jeszcze przyjechał! — inni zaś: bodajeś nigdy z Berlina nie wracał! Nad wszystkimi jednak okrzykami górował głos stolarza z Załęża, który, stanąwszy przed samym Danielewskim i wiodąc płaczącą swą córeczkę za rękę, wołał: „I za cóżeś nas sprzedał, nieszczęsniku, że nas teraz z torbami po świecie puszczają! Krzywda ludzka pomści się na tobie! Za co ja i dziecko moje zmarnować się mamy! Badajeś zmarniał! i przy tych słowach w najwyższem uniesieniu cisnął swą czapkę pod nogi Danielewskiego. „Bodajeś zmarniał“!

Ten zaś zbladł, a po chwili na twarz wystąpiły mu rumieńce. Chciał coś odrzec, nie mógł, wogóle tłum otaczał go groźny. Zdawało się, że lada chwila pięść czyjaś spadnie na jego ramię. Włodek, syn jego, trwożnie się przyciskał do ojca.

Danielewski sięgnął w zanadrze i przez chwilę, która nie trwała sekundy, ale dla niego nieskończenie długą była, wahał się, co wyciągnąć: czy rewolwer na wypadek napaści, czy pugilares z pieniędzmi. Wybrał to ostatnie.

W jego ręku zaszeleściła pięćdziesięciomarkówka. Siląc się, podawał ją, blady, tamtemu człowiekowi, oszalałemu niemal z bolu i poczucia nędzy. I stali tak przez chwilę naprzeciwko siebie, aż ręka Danielewskiego zaczęła drżeć „Macie — to — dla was — Markowski — weźcie sobie wymówił Danielewski.

Markowski w milczeniu pochylił się ku ziemi, — już się zdawało Danielewskiemu że go za hojny podarunek Markowski za nogi ułapi starodawnym zwyczajem — ale stolarz tylko czapkę swą podniósł, z kurzu i pyłu otrząsnął i głosem, w którym silne wzruszenie czuć było, odezwał się. „At co mi tam pieniądz... — Chatę oddajcie, niech mnie nie wypędza z niej nikt — to przyjmę“ — i wielkie szlochanie wstrząsnęło piersią tego człowieka, jakgdyby powtórnie żegnać się miał z kochanymi kątami. Dziewczynka mu zawtórowała, a ta rozpacz udzieliła się obecnym.

„Nie bójcie się człowieku, — niejeden to się na obczyźnie dorobił grosza i wraca — to i wy wrócicie“ pocieszał go jeden z najbliżej stojących.

Tymczasem Danielewski korzystając z tego, że uwagę wszystkich zajął Markowski, wcisnął, zmięszany, banknot do ręki płaczącej dziewczynki i przecisnął się z trudnością parę kroków ku drzwiom aż dostał się wreszcie pod opiekę żandarma, który utorował sobie i jemu drogę do wyjścia

Danielewski był blady, wzrok miał błędny i chwilami nie zdawał sobie sprawy z tego, czy szuka wzrokiem swego stangreta i dwóch koni, stojących przed dworcem, też czegoś upatruje w tłumie. Widział kilka znajomych twarzy, lecz nikt mu nie skinął głową i nie oddał jego ukłonu. Włodek, przeciskając się przez tłum razem z ojcem, otarł się niemal o dwóch swoich kolegów i dłoń ku nim wyciągnął: uścisku koleżeńskiego mu nie oddali. Dzięki usiłowaniom żandarma Danielewscy docisnęli się już do samych drzwi. We drzwiach mijać musieli Stasia Beńkowskiego i jednego z jego kolegów. Ci stali nieruchomo, pomimo krzyków żandarma. Beńkowski miał zmarszczone brwi, jak człowiek który całą siłą stara się utrzymać panowanie nad sobą, a jakieś piekielne zadowolenie błyszczało w jego wzroku. Spoglądał na obydwóch Danielewskich z nieopisaną pogardą. Młody Danielewski pomny zniewagi. której doznał od Beńkowskiego, już mu teraz dłoni nie wyciągnął, ale chciał się przywitać ze stojącym obok Beńkowskiego kolegę. „Posuń się trochę, będziemy mogli się wydostać“ — powiedział młody Danielewski, wyciągając rękę. Ale tamten rękę schował do kieszeni, wzruszył ramionami i spojrzał na Beńkowskiego. Staś nie mógł się utrzymać i na cały głos zawołał: „Hańba sprzedawczykom!“

Obaj Danielewscy, którym te słowa prawie przy samych uszach zadzwoniły, bystro spojrzeli na Beńkowskiego. Stary Danielewski chciał coś wyrzec, podniósł rękę z wskazującym gestem, lecz wszczął się nieopisany hałas, który jego słowa zagłuszył. Tłum zazwyczaj potrzebuje, aby mu poddać wyrazy, odpowiadające w danej chwili jego psychicznemu ustrojowi, a gdy je raz usłyszy, podchwytuje je w mig, potęguje i wkłada w nie cały zapas swej energii.

„Hańba sprzedawczykom“! wołał Beńkowski, a tejże w chwili niemal najbliżej niego stojący podchwycili hasło i podali je dalszym szeregom. „Hańba sprzedawczykom“ rozbrzmiewał głos, rosnąc jak lawina, która w swym biegu przybiera coraz to więcej siły.

Danielewskiemu głos zamarł w piersi i oddech się zatrzymał. Ruchem szybkim, zdecydowanym przedarł się na świeże powietrze, pociągając syna za sobą, i w jednej chwili siedział już w swym powozie. A za nim w ślad biegły okrzyki: Hańba sprzedawczykom!



ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE.

Sala amarantowa.

„Zacinaj konie!“ wrzasnął Danielewski na stangreta, a zwrócony do tłumu, którego fala już zaczynała wylewać się z budynku stacyjnego, zaciśniętą pięścią groził i szeptał: Ja wam się odpłacę!

Woźnica konie zaciął i ruszył. Lecz w tejże chwili z krzaków okrytych ciemnościami, z klombów, z opłotków, z pod samych niemal koni i z tyłu powozu odezwały się jakieś nieludzkie dźwięki. Pisk, wrzask, uderzania kamieniami w mosiężne, miedziane i blaszane naczynia rozdzierały powietrze i napełniały uszy jakiemiś dzikimi tonami. Pośród nieludzkiego wycia gromady niedorostków, zorganizowanych przez Stefka, pośród fałszywych, a ogłuszających dźwięków rondli słychać było bezładne tony harmoniki, głos jakiejś piszczałki, przewyższającej wszystko przeraźliwością swych wysokich tonów, a nad tym chaosem górowały jakieś majestatyczno-poważne niskie metaliczne dźwięki, poddające temu piekielnemu koncertowi jakby tło, które w orkiestrze poddaje kontrabas To Stefek Rudzki, syn piekarza, stojąc przy koniach ex-dziedzica, drewnianą warząchwią wybijał na olbrzymich dwóch blachach do pieczenia placków — tryumfalny swój marsz...

Konie, spłoszone nagłym hałasem, nagle wryły się kopytami w ziemię i stanęły.

„Zacinaj konie“ wrzeszczał na stangreta Danielewski i sam, chwyciwszy bat okładać zaczął biedne zwierzęta.

A dziki koncert nie ustawał, lecz raczej się wzmógł]jeszcze, bo publiczność, po większej części znajdująca się już na dworze, na widok obezwładnienia Danielewskiego i na odgłos dzikiej muzyki chłopaków, którzy jak opętańcy uwijali się około powozu, widzialni zaledwie tyle, ile że niejeden w szalonych skokach przebiegał smugę światła, pochodzącego od latarni przed dworcem, — publiczność ryknęła salw śmiechu. Rozległy się klaskania w dłonie i głośne okrzyki: brawo!

Wśród tych okrzyków, aplauzów i piekielnej muzyki wił się Danielewski rozpaczliwie, aby uciec, aby spłoszone konie opanować.

W uszach jego jeszcze brzmiały okrzyki: Hańba: i ten dziki, straszny śmiech, który przykuwał i obezwładniał go. Fala nienawiści wezbrała w jego sercu i krzyknął: Ja wam się odpłacę za to! a sam, prawie nie wiedząc co czyni, biczyskiem okładać zaczął szarpiące się konie i zmusił je wreszcie do posłuszeństwa i ruszył z kopyta przez miasto, nie oglądając się, czy nie przejechał po kim.

Za nim biegły wycia, piski, odgłosy bicia w blachy i przeraźliwy głos piszczałki, wołanie: hańba! i salwy śmiechu, a on powtarzał przez zaciśnięte kurczowo usta: ja wam się odpłacę!

W miarę oddalania się od dworca odgłosy te cichły, a gdy jaki silniejszy dobiegał jeszcze jego ucha, on sam zacinał konia i pędził naoślep w noc ciemną, jakby mógł uciec od hańby swojej...

W rogu powozu, wciśnięty między poduszki, wybladły i dygoczący siedział Włodek, Widząc, że już uniknęli niebezpieczeństwa i byli za miastem, zapytał ojca z cicha: „Ojcze, za co oni na nas właśnie tak się rzucili..

Umilkł, widząc, że ojciec nie zamierza odpowiedzieć na pytanie. A stary Danielewski dobrze jego słowa słyszał... Lecz nie mógł o nich mówić. Refleksye nie były właśnie w jego naturze. Był wzburzony. W myśli jednak powtarzał sobie machinalnie słowa syna. „Dlaczego właśnie na nas to padło, kiedy tylu innych przecież sprzedawało i żyli, i umierali we czci wielkiej u całego społeczeństwa? A Ryńsk?“

Wtem wzrok jego padł na różę, która tkwiła jeszcze w butonierce u klapy jego hawelока. Była trochę zmięta i zwiędła, choć nie dalej, jak przed pięciu godzinami, przyszpiliła mu ją w restauracyi Wintergartenu w Berlinie piękna panna Meta która odprowadziła go do pociągu...

Danielewski nerwowym ruchem wyrwał różę i rzucił ją precz. Padła przy drodze, jak nieme świadectwo łączących nas z Berlinem stosunków..

A Danielewski zawinął się szczelnie w swój hawelok, podniósł kołnierz do góry, siadł obok syna i udał że śpi. Ale nie spał. Myśli jego przygwożdżone były do strasznych upokarzających przejść tego wieczora i na ustach błąkały się słowa: Ja wam odpłacę...

A tem życzeniem obejmował całe społeczeństwo, nie tylko tych, co na dworcu przyjęli go okrzykami: hańba!

Tymczasem dworzec kolejowy pustoszał powoli i układał się do snu. Ludzie gromadnie wracali do swoich domów i cisza zalegała powoli ulice. Tylko od czasu do czasu odzywał się cichy, bolesny jęk jakiś i płacz dziecka. To żandarm prowadził do miejskiego aresztu stolarza Markowskiego. Przy ojcu szła córeczka z głośnym płaczem. Towarzysz ich niedoli, biedny psina, którego mieli ze sobą na dworcu, zdychał na śmietniku stacyjnym, dokąd go już konającego wyrzucił nielitościwy kelner.

Dziewczynka od czasu do czasu chwytała ojca za rękę i z płaczem wielkim pytała: „za co nas biją tatku“? — a stolarz wsłuchiwał się w miarowy, żołnierski krok żandarma i odpowiedzi nie dawał. A boż on mógł wiedzieć, za co nas biją? Ot, wiedział, że nas biją, — i tyle.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Hajota.

ODMIENNE LOTY.

Codzień, na świat w przedpółnocną chwilę
Dwaj zlatują aniołowie biali:
Jeden anioł ma skrzydła motyle,
Drugi anioł ma skrzydła ze stali.

Całą dobę trwa anielska praca,
Obiegają wszystkie krańce świata,
A gdy w niebo jedna para wraca,
Druga para już na ziemię zlata.

Nigdy razem... ten po różach płynie,
Tamten brodzi wśred cierni i głogu:
Czasem tylko.. o jednej godzinie
Gdzieś się raptem rozminą na progu.

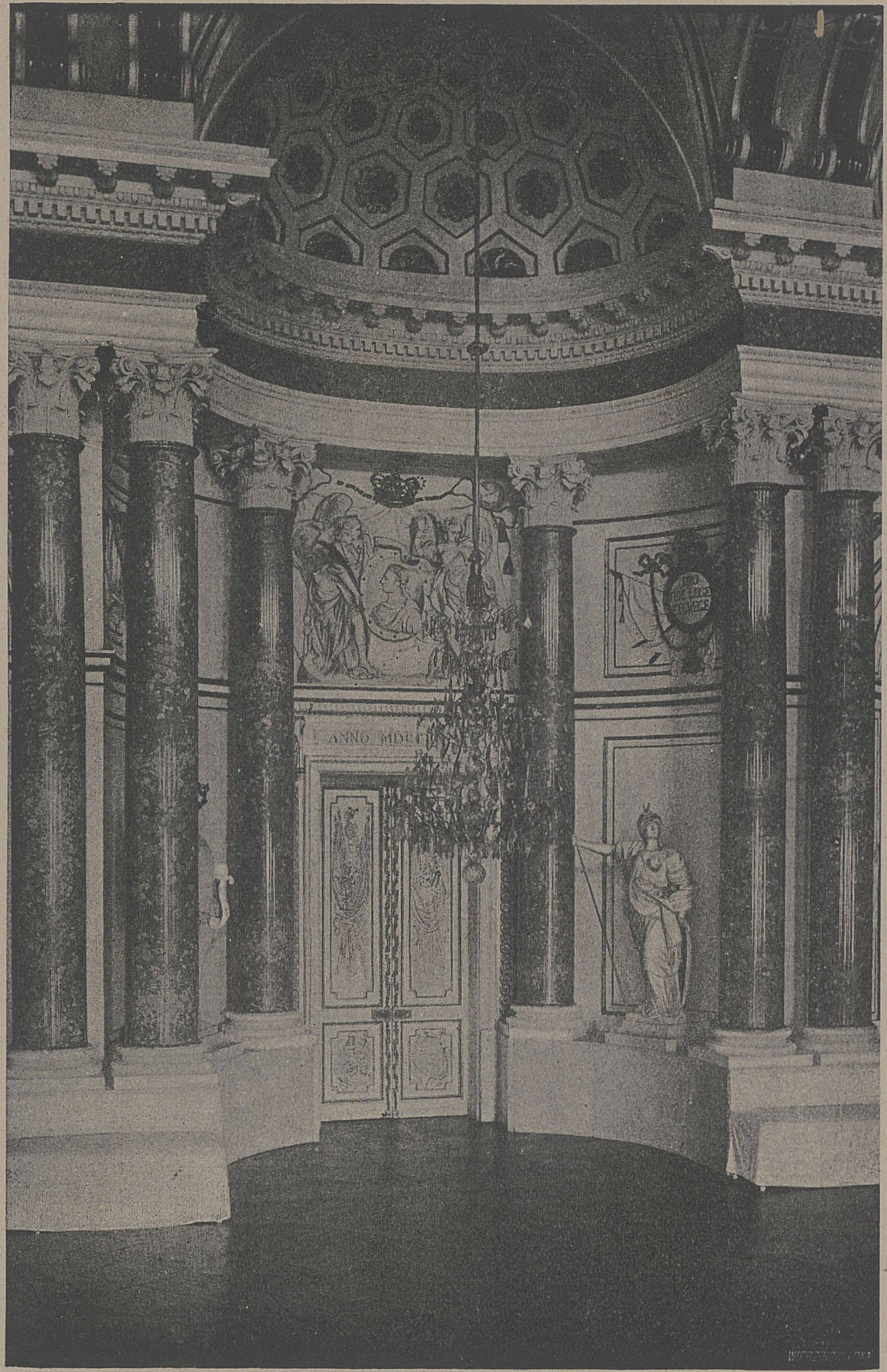
Bywa... równą tam chwilę przebyli,
A gdy znikli, ludzie przysięgali,
Że wnet pierzchnął ten, co był motyli,
Gościł wieki ten, co był ze stali.

Są też miejsca... jak z szarego głazu,
Ach! miejsc takich nie bądźcie ciekawi,
Kędy pierwszy nie zajrzy ni razu,
Kędy drugi co moment się jawi.

Tych aniołów człowiek spotkać może
W mieście, na wsi, na polu i w lesie,
Wchacie... w zamku .. aż w północnej porze
Każdy w niebo plony swoje niesie.

Pierwszy wesół wznosi się nad ziemię,
Lecz drugiemu widać praca zbrzydła
Nie dziw. Zebrał takie ciężkie brzemię,
Że mu mdleją te hartowne skrzydła.

I tak ciągle... przez szereg stuleci
Pełnią: każdy inny rozkaz Boski:
Anioł-motyl z ludzkiem szczęściem leci,
Anioł-siłacz dźwiga ludzkie troski.





ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE.

Odrzwia z medalionem Stanisława Augusta.

Zegar z Saturnem.

Adam Krajewski.

Przyczynek do historyi czasów saskich w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Charakterystycznem jest, że mimo, iż w całej tej wojnie Polska nie brała udziału, ani też August III., jako król polski, lecz, jako elektor saski, mimo tego w żadnym z listów, które tu podajemy, niema mowy o elektorze saskim, jako stronie wojującej, lecz wszędzie figuruje tylko „Król polski", jakby elektor saski August nie był Fryderykowi zupełnie znanym.

Widzimy z dalszego ciągu, że królowi pruskiemu widocznie wiele na tem zależało, aby hetmana wielkiego koronnego (Potockiego) informować o swoich sprawach; w liście bowiem, datowanym z obozu pod Rostokiem dnia 5. czerwca 1745, mniej więcej w miesiąc po pierwszym liście, pisze znowu do hetmana:

„Ponieważ wiem, ile Pana interesuje wszystko, co mnie dotyczy, mam nadzieję, że sprawię Panu przyjemność, gdy mu doniosę o wielkiem zwycięstwie, jakiem Najwyższy wojsko moje obdarzył w dniu 4. tego miesiąca pod Hohenfriedberg w księstwie świdnickiem. Gdy bowiem zjednoczone armie austryacka i saska w sile przeszło 70.000 ludzi, z początkiem tego miesiąca na Śląsk przez góry księstwa świdnickiego wkroczyły, aby moje śląskie kraje najechać i łupem z nich między sobą się podzielić, jak to ostatniemi czasy między dworami w Wiedniu i Dreźnte ułożono, pomimo ponownych zapewnień tego ostatniego, że zachowa neutralność względem mnie i moich państw, — Najwyższy Pan Bóg pospieszył się zniweczyć niebezpieczne zamiary moich wrogów.

Liczba ich nie posłużyła do czego innego, jak tylko, aby powiększyć chwałę mego zwycięstwa i ich klęski. Zaatakowałem ich wczoraj pod Hohenfriedberg o 4. rano i Pan pobłogosławił memu orężowi, dając mi jedno z najświetniejszych i najzupełniejszych zwycięstw.

Armia nieprzyjacielska została zupełnie pobitą i dwie mile od pobojowiska ściganą, przyczem pozostawiła na placu boju przeszło cztery tysiące zabitych i rannych, a więcej niż pięć tysięcy jeńców, która to cyfra każdej chwili się zwiększa uciekinierami, sprowadzanymi przez moich żołnierzy. Liczę między jeńcami 5 generałów, i więcej, niż 30, oficerów sztabowych. Odebrano wrogom 60 armat, 66 chorągwi, 10 sztandarów i 8 kotłów.

Pochlebiam sobie, że weźmiesz Pan udział w tej zwiastowanej Panu szczęśliwej nowinie i cieszyć się Pan będziesz jeszcze więcej, powodzenie bowiem w tym ważnym dla mnie dniu, dla pańskiej ojczyzny tak samo jest korzystne, jak i dla mnie.

Jest rzeczą pewną, że gdyby się przedsięwzięcie wrogów było udało, Rzeczpospolita byłaby narażoną na wielkie niebezpieczeństwo, widzieć cenne zasady swej konstytucyi i jej wolności grzebane jedne po drugich; byłoby im się bowiem udało przez bezpośrednie złączenie Saksonii z Polską i przez zdobycie Śląska, daleko łatwiej z czasem, tyle wojsk zgromadzić, ileby im się tylko zechciało, aby z najbliższej skorzystać sposobności, zniszczyć Rzeczpospolitę i koronę polską uczynić dziedziczną, co jest już oddawna niebezpiecznym zamiarem złych doradców króla polskiego i drezdeńskiego dworu i jego zauszników, aby mi Śląsk odebrać i aby tym sposobem usunąć z drogi księcia, troszczącego się o utrzymanie obecnego systemu rządów Rzeczypospolitej i jej znakomitych wolności, jakim właśnie ja jestem. Pochlebiam więc sobie, że przy tej sposobności walczyłem zarówno o dobro Rzeczypospolitej, jak i o swoje, i że wszyscy istotni patryoci polscy wiadomość o zwycięstwie mojem z przyjemnością przyjmą i dziękować mi za nie będą.

Zanim skończę, nie mogę pominąć okoliczności, o której Panu w poprzednim liście wspomniałem, o owych właśnie 6 regimentach, zorganizowanych w Polsce przez dwór saski. Wiadomo Panu, że ci ludzie odważyli się obecnie na uderzenie na Nową Marchię (*Neumark*), gdzie popełnili wiele rabunków i innych gwałtów. Można przypuszczać, że ci ludzie dopuściliby się jeszcze więcej od tego, czego dopuszczali się w swoim marszu przez Polskę, kraj należący do ich Pana, gdyby zwycięstwo przezemnie odniesione nie powstrzymało ich w ryzie. Nie wątpię, że udałoby mi się powściągnąć ich zuchwałość. Powodzenie, które Bóg dał memu orężowi, dostarczy mi dość środków po temu, aby ich upokorzyć. Ale jedno, co wzbudza we mnie niepokój, to, że nie mógłbym ich z ich kryjówek wypłoszyć, bez naruszenia terytoryum Rzeczypospolitej. Nie możesz mi Pan tego odmówić, ażebym nie ścigał nieprzyjaciela po wszystkich miejscach, a tem bardziej takiego rozbójniczego nieprzyjaciela, jakim jest to nieregularne wojsko, które przeciw mnie w Polsce zwerbowano. Niechcę jednak być zmuszonym uciekać się do tego środka i przewiduję, że gdybym nawet tym rozbójniczym bandom dał uczuć moją zemstę, nie byłoby łatwo możliwem wszelkie trudności tak ułagodzić, aby naród, który ja wysoko cenię i kocham i którego przyjaźń tak mi jest drogą, że nie chciałbym powodować jakiejś w niej zmiany lub przerwy, niemiał do mnie jakiej urazy. Co mnie w tej sprawie czyni jeszcze ostrożniejszym, to, że jestem przekonany, iż dwór drezdeński wzmiankowane wojska nie tyle w widokach korzyści, jakieby mógł mieć przez najeżdżanie mego państwa, w Wielkopolsce zgromadził, ile bardziej jeszcze w tym zamiarze, aby przez te operacye zniweczyć dobre porozumienie, jakie widzi pomiędzy mną a narodem polskim i poróżnić mnie z Rzecząpospolitą, a co już usiłował uczynić na ostatnim Sejmie wcale otwarcie. Spodziewa on się, że mu się to uda tak samo, jak się już wplątał na początku bieżącego stulecia w wojnę ze Szwecyą, której następstwa w pamięci prawdziwych patryotów polskich jeszcze zupełnie nie wygasły, a czego nałożyłoby się i teraz spodziewać po machinacyach, sprzecznych z ustawami Królestwa. Spodziewam się, że weźmiesz Pan to wszystko pod najściślejszą rozwagę i jestem przekonany, że nikt od Pana na to bardziej nie będzie zważał, i że Pan za przykładem swoich sławnych przodków, którzy byli po wszystkie czasy dzielnymi obrońcami wolności ojczyzny i według swego sposobu myślenia, jaki codziennie w ciągu swego długiego i sławnego żywota okazujesz, ani chwili nie zdradzisz tego zaufania, jakie na Pana włożyły ustawy konstytucye Królestwa, i że uczynisz Pan wszystko dla unicestwienia niebezpiecznego przedsięwzięcia, a zarazem zażegnasz burzę, nim się ona rozpęta, tak przez odwołanie wszystkich świeżo w Polsce zaciężnych wojsk nieregularnych od moich granic, jak i przez stanowczy opór przeciw temu wszystkiemu, coby mogło ze strony Polski grozić bezpieczeństwu moich krajów. Obiecuję to sobie tak przez skłonność pańską dla mnie, jak i przez pańską gotowość w utrzymaniu dobrej harmonii między mną a Rzecząpospolitą; przyczem zapewniam Pana, że moja wdzięczność będzie tak wielką, jak silną jest moja chęć, kontynuować tę przyjaźń, jaka mnie tak szczęśliwie z narodem polskim łączy. Pana zaś zapewniam, jak przy każdej sposobności, o mojej szczerej przyjaźni i o tem, że na pierwszem miejscu stawiam zawsze utrzymanie waszych swobód i wolności.

Fryderyk".

Z powyższego listu łatwo pojąć, że hetman w tym wypadku, jako naczelny wódz siły zbrojnej Rzeczypospolitej, prowadził politykę na własną rękę, bez oglądania się na króla i resztę doradców korony. Widać z tego również, że Brühl, któremu niedawno jeszcze Fryderyk obiecywał udzielne księstwo w Rzeszy, nie dał się, czy nie mógł się dać złapać na taką gratyfikacyę. Znać, jako Niemiec, dobrze wiedział, że na słowa króla pruskiego nie wiele a może i nic liczyć nie można. Że tak być musiało, to widać z tego ustępu listu, do hetmana Potockiego pisanego, w którym się król pruski skarży na złych doradców saskiego dworu, a chyba nie kogo innego, jak Brühla, miał na myśli, wiedząc ponadto dobrze, jak nienawistnym był tenże dla rodowej szlachty polskiej.

Z dalszego ciągu listu okazuje się także, że już wówczas król pruski pod pozorem wypędzenia nieregularnych wojsk, dla armii saskiej w Polsce werbowanych, czyli, jak on nazywa, „band zbrojnych" miał gust wkroczyć w granice Polski i może tam się zakwaterować; nie leżało to jednak jeszcze wtedy w jego planach, bo rozbiór nie był jeszcze na czasie.

Ile mu przecież równie, jak i Rosyi, zależało na utrzymaniu bezładu w Polsce, poznać to można z pisma do hetmana, gdzie wielokrotnie kładzie nacisk na „utrzymanie systemu rządu, swobód i konstytucyi Rzeczypospolitej". Utwierdza nadto hetmana, jako jednego z najzagorzalszych oligarchów, w tem podejrzeniu, że August dąży do dziedzicznej korony, co byłoby ostatecznie tylko przyspieszeniem późniejszej uchwały wiekopomnej Konstytucyi 3 Maja.

Nie wchodzimy w to, gdyż nie jest to zadaniem niniejszej pracy, czy hetman wielki poszedł na rękę Fryderykowi ściśle w myśl jego prośby, wyrażonej w liście przytoczonym; dodamy tylko, że na tem korespondencya z nim się urywa. Najbliższy list, dotyczący wojennego stosunku króla pruskiego z elektorem saskim, gdzie jest także o sprawach polskich wzmianka, jest z daty 11. grudnia 1745, pisany z głównej kwatery w Zgorzelicach (*Görlitz*) na Śląsku, do pana Villiers, ministra angielskiego, którego, jako reprezentanta Wielkiej Brytanii, pośrednikiem między wojującemi stronami korespondencya wymienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RAFAEL.

MARZENIA.

Cóż zostało z cudnych rojeń, z owych wątłych kwiatów,
Co na glebę moją zeszły ciałkiem róż, bławatów,
Z dumań, których cichym czarem duch mój rozmodlony
W sen się cudny rozkołysał, jak wieczorne dzwony?

Cóż zostało z owych długich nocy, srebrem tkanych,
Tajemnicą czarodziejską, jak wonią, owianych,
Kiedy dusza mknęła w światy między mleczne szlaki,
Hen, w grających widnokręgów niknące majaki?

Ziemia zmyła blaskiem drżącym smutnego księżyca,
Gwiazd orszaki wychylają zza szafirów lica,
A hen, w górze płyną śpiewy, archanielskie śpiewy,
Do dusz jasnych je zanoszą zefirów powiewy...

Piękna ziemia w swojej szacie, w przewspaniałej szacie,
Jak królewna w dyademie złotym i w szkarłacie,
Piękna ziemia w srebrne noce, piękna w ranne świty,
I jak nie być marzycielem, jak nie mknąć w błękity?

Jak nie dumać duszy ludzkiej o promiennej doli,
Co widziadłem cudnem przejdzie po zczerniałej roli,
Co nam ściągnie światów pięknych czarowne ponęty
I odnajdzie kwiat mistyczny, kwiat paproci święty?

Lecz cóż zeszło z cudnych rojeń, z owych wątłych kwiatów,
Co na glebę czarną padły ciałkiem róż, bławatów,
Z dumań, których cichym czarem duch nasz rozmodlony
W sen się błogi rozkołysał, jak wieczorne dzwony?

Nic, prócz ciągłych łez, tęsknoty, co duszę przeciąka
I po życiu twardych ścieżkach z człowiekiem się błąka,
Prócz męczących oczekiwań na jakoweś cuda,
Nic, nic... pokąd nie przyciśnie trupiej piersi gruda...

Niewcielone, znicestwione niebiańskie rojenia
Łamią ducha, gniotą myśli szczytne uniesienia,
I żyć każą w tej apatyi, co nakłada brzemię
I giganty dusz przeradza w karłów nędzne plemię!

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

I zaczęła się teraz rozmowa tem żywsza, że Paracki zapowiedział, iż przed północą wrócić musi do miasta. Staruszek więc, nie śmiejąc wtrącić ani jednego słowa własnego, ażeby się tylko jak najwięcej nasłuchać wychowańca, siedział wpatrzony w jego miłą twarz, w której widział dawne ubóstwiane rysy, tylko na mężczyznę przeniesione i o tyle zmienione, a Władysław opowiadał mu, co się działo, co dzieje i co dziać się powinno, jeżeli ojczyźnie przeznaczonem jeszcze istnieć. Kreślił plany konfederatów, konfederatów tych, co w obozie walczyli i tych, którzy na arenie politycznej w Warszawie bój prowadzili, plany, w które był wtajemniczony i w których wykonaniu miał brać czynny a ważny udział. Północ już się zbliżała. „Ojcze!“ rzekł wstając nareszcie Władysław: „Mnie nie wolno już dłużej tu być. Ale nim odejdę, powiem ci jeszcze jedno, co Bóg w najcięższych chwilach na pociechę zsyła: gorące przywiązanie do niewiast“, — ksiądz brwi zsunął i zasępione czoło podniósł na wychowańca — „ale, ojcze, nie bój się; ja znam twoję troskę: to nie w stolicy się stało, ale pod wiejską strzechą, tam, gdzie mię rannego anioł pielęgnował. Ona to zupełnie, jak nasze prababki, Polka...“. Ale poznał, że i jemu nie można bardzo dużo mówić, bo im więcejby chwalił swoją wybranę, temby więcej zacieniał pamięć matki, urwał więc i milcząc, czekał, co mu ksiądz opiekun powie.

„Ty wiesz lepiej, co i jak ci robić trzeba“, rzekł ten, głęboko wzdychając „zresztą, jeżeli Bóg pozwoli, to małżeństwo rzecz boska“.

Władysław ściskał go za kolana, a gdy nareszcie staruszek skończył ostatnie słowa błogosławieństwa i pożegnania, wybiegł prędko za okno. Gdy skoczył na ziemię, zdawało mu się, że słyszy szelest i że jakaś postać z pomiędzy krzaków wyskoczywszy dała susa za płot w pole. Przyszły mu na myśl szpiegi, ale nie zajęło to długo jego uwagi, przeżegnawszy się więc, szedł ku miastu.

Szedł zaułkami jak najmniej uczęszczanemi, przez pole po pod krzaki, aby cienia nawet widać nie było, a gdy wszedł już w pierwsze ulice przedmiejskie, chował się pod domy, idąc zwolna, jakby z namysłem. Zresztą nie bardzo to potrzebnem było, gdyż godzina pierwsza po północy odwołała już z bruku i najwięcej spóźnionych mieszkańców. Nagle na skręcie ulicy wystąpiła jakaś postać z poza węgła domu, a światło księżyca pozwoliło się domyślać, że to jeden z nocnych włóczęgów, w potrzebie żebraków udających.

„Dobrodzieju mój, poratuj biedaka...“, odezwał się świeży dosyć głos.

„Idź do czarta, po nocy, sam nic nie

mam“, odparł Paracki, nie chcąc wychodzić z roli węglarza.

„Oj, dobrodzieju, dobrodziejaszku, masz, masz, ale wąż w cudzej skórze chce jadowicie, jak on kąsać.

Parackiemu oczy na wierzch ze ździwienia powyłaziły, a słysząc zbliżające się kroki czyjeś i nie chcąc wdawać się w rozmowę, rzucił żebrakowi drobną monetę do otwartej dłoni: włóczęga w tej chwili chwycił chcącego oddalić się pułkownika z siłą nachylając go ku sobie, szepnął mu do ucha:

„Pułkowniku! strzeż się konfederatów barskich“.

Ten w pierwszej chwili, gdy tylko wyrwał się z uścisku żebraka nie zdawał sobie sprawy z przestrogi, gdyż od miejsca tego dziwnego spotkania się, chciał jak najprędzej uciec, dopiero gdy po przejściu ulic, znalazł się znowu sam, a lekki wiaterek zadął mu w oczy, przypomniał sobie o nich.

„Strzeż się konfederatów!“ wydało się jemu, który z całą duszą należał do nich i miał sposobność zbliska przypatrzeć się ich zamiarom, jakby go ktoś upomniał: „Nie wierz w Boga chrześciańskiego“. Zaśmiał się więc i wzruszył ramionami. Lecz właśnie dlatego, że myśl ta tak dziwną była, właśnie dlatego, nie opuściła go ona tak prędko. Gdy wszedł do swojej izby, długo zasnąć nie mógł, rozmyślając, czy istotnie zachodzi jaka obawa.

VI.

W gospodzie u pana Gawła Kącickiego, jak zwykle zeszło się kilku amatorów miodu i wieczornej gawędki w ostatnim pokoiku, od głównych drzwi idąc a w pierwszym od podwórza, zastawionego wózkami i beczkami, tak że nawet drzwi do miodowni do połowy zabarykadowane były i bokiem przez nie wsuwać się musiano. Ale też, kogo gospodarz poprowadził po starej znajomości, ten sobie w gronie miłych „kumów“ siedzieć mógł, jak u Pana Boga za piecem, nie nagabywany przez nikogo, i nie widziany nawet, jedyne bowiem okienko zasłonięte było firanką.

Według zwyczaju siedzi tam więc i pan Kasper, brat właściciela a rymarz dość znany w mieście i pan Baltazar, stary kawaler, przeszło pół wieku mający, szewc, wraz ze swoim najstarszym czeladnikiem, przyjacielem swoim w równym z nim wieku będącym, tudzież kilku ze szlachty, jak pan Kazimierz, Władysław i Daniel. Wszystko siedziało dokoła stoła okrągłego, już to na ławkach, lub krzesłach, pijąc smaczny miodek i wzdychając na smutne czasy. A wzdychali nietylko dlatego, że obcy w kraju gospodarowali, gdyż tego dobrze jeszcze ocenić nie potrafili, ale dlatego właściwie, że nie szło po dawnemu wszystko, jak z płatka i że wisiało w powietrzu coś groźnego. Szczególniej pan Baltazar, po którego czerwonej, gładko ogolonej twarzy i śmiejących się wiecznie oczkach, najmniejby tego można się spodziewać, tudzież zamyślony jego przyjaciel, Tomasz, przez grzeczność potakujący mu we wszystkiem, najwięcej byli niezadowoleni. Gniewało ich wszystko, konfederaci i król, Moskale i Prusacy, sejmy, wojsko i co było w Warszawie. Byłoby to może dziwnie obecnym, tem bardziej, że pan Baltazar, jako pocięgowładca, nie wiele na tem wszystkiem się rozumiał, lecz raz w rozmowie o swem szacownem zdrowiu, o które, nawiasowo mówiąc, ciągle się obawiał, dał im niechcący do zrozumienia o co chodzi.

„Mosterdzieju! jedyne to jeszcze dla mnie, jak z waszmościami pogadam“, a że „pogadanie“ to było właściwie kilkugodzinnem bez przerwy, więc poznano jego gadulstwo i nikt mu już nie przeszkadzał, chyba gdy miał coś ważnego sam swoim towarzyszom opowiedzieć, jak to np. wchodzący teraz od podwórza nowy gość pan Seweryn, który nie zważając na leniwe wymachiwanie rękami szewca, przerwał mu tekst patetycznie, co było jego popisem ulubionym.



ZŁOCIEŃ

„Waszmościowie! waszmościowie! ja co dzień za głowę się biorę i doprawdy, jak Bóg miły, nie wiem, co to będzie. Da Bóg, jeszcze rok lub dwa przeżyć, a nas tu ten powabny Moskal, jak psów, powywiesza, jeszcze króla zaprosi na to widowisko...“

„No, no“, uważał za stosowne pocieszyć pan Baltazar, korzystając, że opowiadający przyłożył usta do kubka z miodem, który mu w tej chwili przyniesiono „tak nie będzie, waść zawsze tylko desperujesz“.

„Nie desperuję ja, nie. Ale posłuchajcie, waszmościowie, com widział, to strach, rzecz niesłychana, jak długo Matka Boska opiekuje się nami. Idę ja koło pałacu prymasa, powoli, bo jeszcze wcześnie było i daję słowo, nie byłbym się spodziewał waszmościów już tu zastać, idę ja sobie i zdaleka widzę kupę ludu, jak koło powozu prymasa przypatruje się pakowaniu. Lokaje wynoszą kufry i paki, ładują to na bryki a mniejsze do powozu z tyłu, a w bramie stoi marszałek i wydaje rozkazy. Dobrzem myślał, że ksiądz prymas pewnie się gdzieś wybiera, to pytam żaka, na co się gapi, a on mi pada, że jego świątobliwość ks. arcybiskup wybiera się w podróż do Modeny. Ano, więc staję i ja — było jeszcze wcześnie, jakem waszmościom mówił, słońce świeciło. Nareszcie i zeszedł ks. prymas, pozdejmowaliśmy czapki i prosząc o błogosławieństwo, niektórzy co zbliska byli, całowali go w ręce, inni tylko kraj szaty, nareszcie siadł i jedzie. Aż tu jak z pod ziemi — bo ich przedtem nie widziano — zjawia się sześciu drabów w mundurach, chwytają za cugle i powiadają, że z rozkazu posła Najjaśniejszej carowej rosyjskiej ma jego świątobliwość pozostać w kraju. I proszę waszmościów, zgadnijcie, kto między tymi Moskalami się znajdował?“

„No?“ ruszył konceptem pan Baltazar „pewnie sam ten Sla... Sal...“, zakrztusił się, chcąc wymówić nazwisko jednego ze znanych urzędników austryackich.

„Głupiś waść“, palnął mu Seweryn, zamykając mu tem usta na cały wieczór. „Nie dziw, żeś wychował takiego mędrka, tego swego ulubieńca Karskiego. On to, on sam i to w pradziadowskiej sukni i przy karabeli szedł obok moskiewskiego pułkownika. Słyszałem, jak potem śmieje się, rozmawiali wesoło po francusku, nie zważając na prymasa.

Pan Baltazar otrzymał cios nielada. Za dawnych czasów, kiedy Adam chodził do szkół, lubiał on rzeczywiście żywego chłopca i zawsze mówił, że co najmniej zostanie kasztelanem: imponowało mu, poczciwemu mieszczaninowi starościńskie dziecko. To też nie mając sam dzieci, obsypywał pieniądzmi i łakociami Karskiego, który często zachodził do jego warsztatu. Teraz, gdy usłyszał, że jego ulubieniec jest w Warszawie, ale jak tylu innych, zaprzedany Moskwie, której instynktownie nienawidzono, ciarki po nim przeszły. Bał się istotnie, aby okrzyczawszy go zdrajcą, nie wyrzucili za drzwi, co w pokorze ducha byłby przyjął, jak słuszną karę. Ale o tem nikt nie myślał, sam pan Seweryn nawet wcale nie był groźnie usposobiony ku szanownemu współtowarzyszowi stoła, rzekł więc po chwili:

„Oj tak, tak, nawet w polskich skórach nie wstydzą się bratać z tymi szu...“

Nie dokończył, w tej chwili bowiem przez podwórze wszedł sam Karski z jakimś drugim szlachcicem w polskim stroju a za nimi Szubalski, poczem po drugiej stronie izby, koło drugiego stoła w kącie usiedli. Na to wszyscy goście z przeciwnej części porobili miny, (z których najbystrzejszy badacz nie wyczytałby ani przestrachu, ani niechęci) jednem słowem głupie. To też i rozmowa urwała się nagle, a w pół godziny powynosili się wszyscy co do jednego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bertold Menkes.

„BARTEL TURASER". — PAN SOLSKI.

Kiedy przed pięciu laty niejaki pan Filip Langmann wydał skromny zbiorek nowel, napisał publicysta niemiecki Bierbaum:

„Oto prawdziwy poeta. Nie znam nikogo, ktoby w języku niemieckim zdołał życie proletaryatu tak upoetyzować i oddać je z perspektywą zewnętrzną i wewnętrzną. Wielu, a między niemi i Hauptmann, działa głównie przez wybór tematu, a ich powodzenie da się wytłumaczyć raczej współcześnie nurtującą litością z dolą proletaryatu, niż poetyczną wartością ich dzieł. U Langmanna wartość dzieła pochodzi od poety samego. Niestety razi pewien brak poczucia delikatności w wysłowieniu. Artysta nie dorównuje poecie. Może winien tu ów weryzm, nie pozwalający poecie bawić się w subtelności językowe, znamionujące symbolistów. Utalentowany poeta musiałby zniweczyć w sobie te pierwiastki, skłaniające go do tak jaskrawego realizmu. A kiedy się to stanie, wówczas spodziewać się po nim możemy powieści społecznej w wielkim stylu, lub d r a m a t u, o s n u t e g o n a t l e ż y c i a p r o l e t a r y u s z y, którego nam właśnie brak wskutek powszechnego mniemania, iż wystarczy tu zwykłe zebranie dokumentów ludzkich".

Pan Langmann nie omieszkał ziścić proroczych przepowiedni swego krytyka.

Wkrótce potem pojawił się jego „Bartel Turaser".

„Niejaki pan" Filip Langmann urzędnik prywatny z Berna, został sławnym na cały świat autorem dramatycznym.

— — — — — — —

Zanim przystąpię do rozbioru dramatu Langmana, muszę się uporać z pytaniem, tak często stawianem: czy życie ludzi przeciętnych, daje się wprowadzić w tragedyę, czy udziela nam rozkoszy estetycznej?

I tu dwa zapatrywania torują sobie drogę. Jedni rozumują:

Śmiejemy się z tych sztucznych fabuł, w których bogowie olimpijscy, albo inni bogaci próżniacy, najnieprawdopodobniejsze historye na scenie wyprawiają. Na scenie ujrzeć pragniemy ludzi, których działaniom wierzyć byśmy mogli, choćby swych narzędzi przed rampę nie wywlekali. Bo nędza robotnika obchodzi nas więcej, niż słodkawe fantazyowanie boskiego leniucha i frazesowicza. A l e w t e m ż y c i u c o d z i e n n e m w i n i e n n a m p o e t a d a ć o b r a z s t a r y c h i w i e c z n y c h w a l k w d u s z y l u d z k i e j.

A drudzy żądają:

Precz z prawdą! Prawda jest głupią, wstrętną i... nudną. Prawdę znam zresztą i tak dobrze. Prawda podjudza moich robotników. Prawda przeszkadza mi w trawieniu. Prawda pozbawia cnoty moje córki. Prawdy nie chcę nawet słuchać z ambony. A cóż dopiero ze sceny...

Wyobrażam sobie, jaką minę zrobiłby taki pan, gdyby przypadkowo zabłąkał się na przedstawienie Bartla Turasera. Bo podstawową myślą tej tragedyi jest p r a w d a, ucieleśniona w postaciach, wziętych z fotograficzną dokładnością z proletaryatu.

I na dramacie Langmanna najlepszy mamy dowód, iż głupiem jest owo zastrzeżenie co do obioru tematów dramatycznych.

„Czy życie ludzi przeciętnych daje się wprowadzić w tragedyę, czy udziela nam rozkoszy estetycznej?..." Tak... Jeśli jest:

1-o. prawdziwe.

2-o. rzeczywiście tragiczne.



Pan Solski w roli sędziego Ciarki (Wiele hałasu o nic).

Na tem opiera się powodzenie Bartla Turasera.

Treść dramatu jest nadzwyczaj prosta.

Robotnicy farbiarscy strejkują. Nędza tak okropna, iż kawałek suchego chleba zyskuje znaczenie pierwszorzędne. Powodem strejku nieludzkie obchodzenie się dozorcy z robotnikami. „Pan majster", któremu powierzono opiekę nad nędzą robotników, pragnął swą pieczołowitość objawić również nad niecnotą pewnej robotnicy... Korzystając z tej chwili słabości u znienawidzonego prześladowcy, oskarzają go robotnicy o namawianie do grzechu. Jedynym tego świadkiem Bartel Turaser. — W przededniu procesu majster stara się przekupić Bartla. Daje mu 200 reńskich i podwyższenie płacy, jeśli nie poprzysięgnie jego winy. A dla uczciwego Bartla zanadto wielka to pokusa. Dziecko chore... w domu nędza..., żona przynosi zarobku dziennego 15 centów...; jakże tu wyżywić i przyodziać wszystkich, nie zostając łotrem? I uczciwy dotąd zarobnik pozostaje nim też. Zostaje nim z nędzy... Dozorca uwolniony. Ale Bartla kara czeka. Nieuczciwość musi się na nim samym zemścić. Dostawszy pieniądze, nakupił mnogo jadła dla siebie i dzieci. Miary nie umiał zachować. Dzieci umierają mu wskutek przejedzenia się. A on oddaje się sam w ręce sądu...

— — — — — — — —

„Bartel Turaser" jest tragedyą w całem tego słowa znaczeniu.

To, że u Turaserów nędza, mniej mię dotyczy; że dziecko im chore — również; to wszystko po za mną spoczywa; przeciw temu chroni mię wrodzony każdemu człowiekowi egoizm. Ale z chwilą, kiedy nędza uczciwego człowieka do łotrostwa doprowadza, czuję, że los tego człowieka i imię wzruszać i przejmować począł. I pytam się w duchu: wszak to i tobie zdarzyćby się mogło; jakbyś ty w tym razie postąpił?... To jest tragiczne: w tem szarem życiu codziennem, między prostymi tymi ludźmi dał poeta obraz wiecznych walk w duszy ludzkiej. Bo — jak powiada jeden z najlepszych znawców dramatu — tragedya musi nas zmusić do wiary w trzy rzeczy: że zdarzenie opisane w dramacie rzeczywiście się stało; że i nam to się stać może; i że takie zdarzenia stanowią filozofię życia.

A wszystkie trzy warunki spełnia dramat Langmanna i dlatego też jest w wysokim stopniu tragicznym.

Pytanie, które sobie Bartel stawia: Co jest słusznem? Czy powiedzieć przed sądem prawdę?... Wówczas dziecina z głodu zemrze.

A czy zaszkodzi komu, jeśli przemilczy prawdę, a uratuje dziecię i całą rodzinę od nędzy, a może i śmierci głodowej?... A więc: co jest słusznem? — pytanie to czyni Bartla tragicznym. Bo stawiając sobie to pytanie, zaważył swoją istność na szali bytu. Być albo nie być...

Przeważył naturalnie szalę: „być", i został krzywoprzysięzcą, zatracił pewność męzczyzny, poczuwającego się do nieskazitelności honoru, popadł w konflikt z sumieniem. I moralnie zginął.

Oto dobiegliśmy do katastrofy.

Bartel zginął; mniejsza o to. Ale my, widze, zostaliśmy z pytaniem, głęboko w duszę nam wrytem: a jak postąpilibyśmy my w takim wypadku...?

I to stanowi o t r a g i c z n o ś c i „Bartla Turasera".

* * *

Wiadomo, iż przyroda w różnym stopniu udzieliła człowiekowi zdolności przejawienia stanów psychicznych. Ale prócz przyrodzonych zdolności dwa czynniki wspomagają człowieka, kiedy się stara uzewnętrznić stan duszy danej osoby: wniknięcie w tajniki mowy ludzkiej, symbolu myśli, i stałe ćwiczenie, prowadzące do rutyny.

Wszystkie zaś trzy czynniki razem wziąwszy, stanowią prawdziwy artyzm, stanowią skończony typ wielostronnego aktora.

Wszystkie trzy posiada pan Solski.

Cechują go: przyrodzona zdolność wniknięcia w głębię duszy, wydobycia ich następnie na jaw, i to w formie słownej najodpowiedniejszej, a jedynie możliwej w danym wypadku, a wreszcie znajomość środków scenicznych, czyli inteligencya aktorska, lub rutyna teatralna.

Czynniki te warunkują też powodzenie pana Solskiego na scenie.

Dodać należy, iż u pana Solskiego nie ma ról „wdzięcznych lub nie". Niektórzy aktorowie zawdzięczają swe powodzenie prawie wyłącznie autorom. Autor napisać musi d o b r ą sztukę z d o b r ą rolą, aby aktor z niej coś zrobić potrafił.

U p. Solskiego tego stosunku między autorem a wykonawcą jego myśli nie ma. Pan Solski każdą rolę, choćby „najniewdzięczniejszą", najmniejszą, obejmuje i w każdej wrażenie czyni, bo w każdej całą duszą postaci ujawia. Stąd przylgnęło doń miano przewybornego „epizodysty". Miano fałszywe: to nie „epizod" danej postaci, to całokształt, do którego nic dodać i niczego ująć nie można. To — si comparare licet — nie „nowela", jeno „powieść".

Tem się tłumaczy np. owe dominujące wrażenie, jakie na każdym pan Solski uczynił w roli drwala (Zaczarowane koło) lub sędziego (Wiele hałasu o nic). Inny aktor godzinę całą na scenie się obraca, a nie wiemy właściwie, jakim jest człowiek, którego przedstawia; pan Solski pojawi się tylko i kilka słów przemówi, a dokładnie znamy i usposobienie danej osoby, i siłę uczuć, i nakład myśli, mogących się w niej ujawić, i wielkość czynów, których się może dopuścić. Uspokojenie nami owłada, ukontentowanie, jak wówczas, kiedy coś nowego bez trudu poznajemy.

A udzielenie widzowi tego uspokojenia jest bardzo trudnem. Bo widz żąda illuzyi całkowitej, iż namiętności, charaktery, zapatrywania i t. d. istnieją rzeczywiście tam na scenie w aktorach; musi się go zmusić, aby zjawiska psychiczne, ujawiające się w akcyi dramatycznej, przyjął za konieczne, a nie sztucznie wytworzone.

I to działanie jest tajemnicą gry pana Solskiego. Zmusza on nas, abyśmy rzeczywiście wierzyli w możliwość istnienia, i co za tem idzie, przyjęli charakterystykę, i zapatrywania, uczucia, i myśli zarówno pana Jowialskiego, jak i demonicznego Żdżarskiego.

A jakimi środkami doprowadza nas do tej illuzyi?

Dokładnie zanalizować to się nie daje; taksamo, jak niemożliwą jest mechaniczna analiza t w ó r c z o ś c i na każdem innem polu działania.

Można tylko uświadomić sobie powstanie całego z e w n ę t r z n e g o aparatu, z jakim się pan Solski na scenie pojawia.

I tak: charakterystyka w każdym szczególe taka, iż wcielić się może w każde ciało, stare czy młode, w każdy charakter, zły czy dobry, każde usposobienie, smętne czy porywcze i t. d. A aby to wyrazić, zawsze innych używa środków. Podziwiam n. p. ich różnorakość co do kształtu i wyrazu oczu w każdej kreacyi. To nie paradoks. Począwszy od przymrużonych, wązkich a figlarnych oczków pana Jowialskiego, od okrągławych, wewnętrze zadowolenie znamionujących oczu sędziego Ciarki, aż do szeroko rozwartych, śmierci w twarz zaglądających oczu drwala, i jadem, co duszę gryzie zalanych Bartla Turasera — we wszystkich postaciach jest inny, a w każdej z osobna konsekwentnie jednolity.

Bo pan Solski jest wielkim artystą, bardzo wielkim artystą.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

W niedzielę 11. listopada odbył się koncert znanej już nam z występów w „Jasiu i Małgosi" p. Maryi Kozłowskiej.

W pierwszej połowie programu odśpiewała koncertantka pieśni Masseneta, Rubinsteina i Moniuszki. Pokazało się, że pani Kozłowska pieśni śpiewać nie umie. Przesada w deklamacyi, zupełny brak uczucia w prowadzeniu melodyi i niezrozumienie ogólne pieśni nie mogło nam się podobać. Zato rzeczy czysto koloraturowe jak Procha „Tema con Variazioni" (z repertoaru Kochańskiej) wykonała koncertantka świetnie, a głos jej w staccatach, pasażach brzmiał równo i pięknie. P. Huzar urozmaicił program odegraniem kilku utworów fortepianowych.

P. Huzar ma talent, ale występ na koncercie uważaliśmy jeszcze za przedwczesny. Fantazya Liszta to popis dla skończonych wirtuozów, a p. Huzar nie mógł ani w części sprostać nagromadzonym w niej trudnościom.

* * *

Wkrótce rozpocznie się we Lwowie serya koncertów symfonicznych. Odbywać się one będą w nowym teatrze prawdopodobnie w południe w każdą niedzielę. P. Czelański mając do dyspozycyi świetną już dziś i zgraną ze sobą orkiestrę, zamierza wykonać na tych koncertach po kolei wszystkie symfonie Beethovena i lepsze utwory kompozytorów polskich. Na pierwszym koncercie usłyszymy Symfonię V. i koncert skrzypcowy. Sądzimy, że sfery muzykalne będą usilnie popierać to piękne przedsięwzięcie, zwłaszcza, że koncertu Towarzystwa muzycznego nie możemy się doczekać.

* * *

Po wystawieniu operetki Offenbacha „Wesele przy latarniach" okazała się w numerze *Słowa Polskiego* z dnia 10. listopada recenzya, w której znaleźliśmy takie zdanie: „Wznowienie tego utworu, którego partytura tryska życiem, humorem i dowcipem, a zarazem nie jest pozbawioną pewnego polotu poetycznego, nazwać można s z c z ę ś l i w y m p o m y s ł e m dyrekcyi teatru, rozpoczynającej działalność swą w dziedzinie operetki od starego Offenbacha, znanego od dawien dawna, dość ogranego, lecz zawsze jeszcze nieprześcignionego, niezrównanego maestra, należącego dziś już do klasyków wesołej literatury muzycznej".

Bardzo pięknie! Po przeczytaniu tego możnaby sądzić, że pan recenzent jest zupełnie kontent i z dyrekcyi i z samej operetki.

Tymczasem pragnie on nam sprawić ucieszną niespodziankę, bo zaraz w następnem zdaniu pisze: „S z k o d a, że wybór padł właśnie na „Wesele przy latarniach", obdarzone dość skąpo (sic!) genialnymi pomysłami Offenbacha".

Gdzie tu logika i sens? A *Słowo Polskie* czyta dziś kilkanaście tysięcy ludzi...

Oto wymowna próbka, jak u nas „robi się" sprawozdania muzyczne.

NEKROLOGIA.

† **Stanisław Schnür-Pepłowski** zakończył życie we Lwowie, przeżywszy lat 41. Stratą płodnego pisarza na polu historycznem odczuje żywo całe społeczeństwo polskie, któremu śp. Pepłowski pozostawił cały szereg pracowicie napisanych monografij i wspomnień historycznych. Zmarły był również czynnym na polu dziennikarskim i przez lat dziesięć należał do składu redakcyi *Dziennika Polskiego.* Położył też niemałe zasługi około rozwoju stowarzyszeń: Koła literacko-artystycznego i Tow. polskich dziennikarzy we Lwowie. Pod jego redakcyą i prawie jego własnym nakładem wychodził dwutygodnik literacki „Iris".

Cześć pamięci zasłużonego pracownika!

Zamek królewski w Warszawie.

Świadomi, jak miłą jest polskiemu sercu każda pamiątka z dawnej świetności narodu, zamieszczamy w numerze dzisiejszym widok niektórych sal z zamku królewskiego w Warszawie, utrzymywanych dotychczas w tym stanie, w jakim były za ostatniego króla. Sala amarantowa, tak nazwana od jedwabnego obicia ścian, powstała za czasów Stanisława Augusta i należy do najwspanialszych. Inna rycina przedstawia część sali kolumnowej, gdzie znajdują się posągi Apolina i Junony, a nad drzwiami popiersie Stanisława Augusta. W tejże sali widzimy starożytny zegar z Saturnen, piękne dzieło sztuki.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.